NUMER 40. DNIA 2. PAŹDZIERNIKA 1904 ROKU. ROK XII.

TYDZIEŃ

DODATEK

LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“

POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA.

ADA NEGRI.

Wielcy.

Uwielbiam silnych, którym jasne czoła
Duch ucałował błękitów.
Co w najognistszych horyzontach dyszą
I do najwyższych drżą szczytów...

Których upaja genjusz, pieśń i burza,
Szał życia, wzburzone tłumy,
I wszystkie wzloty, łzy wszystkie i jęki
I cisze morza, i szumy...

Z synajskich wyżyn, co wyroczne słowo
Rzucają poklękłej ziemi,
A w śmierci nam się jawią wniebowzięci,
Nakryci blaski złotemi.

. . . .

Ale tych kocham, co z sercem przebitem
Nadziemską jakąś rozpaczą,
Boskiemi węzły złączeni się czują
Z tymi, co cierpią i płaczą,

I z tymi, których Chrystus śmiercią zbawił,
A bracia przeklęli krwawo...
Ale tych kocham, co sztandar zórz niosą
I nowy zakon i prawo.

Co hymn śpiewają przyszłej świata wiosny,
Wzniośli nadziei swej szałem,
Przypieczętować swą prawdę męczeńsko
Gotowi — duchem i ciałem!

. . . .

Lecz płaczę, płaczę najkrwawszemi łzami
Nad wielkich nieznanych rzeszą,
Nad tłumem głodnych i nędznych, co żadnym
Darem się życia nie cieszą.

Którym przyroda — macochą; a oni
Za swoje nie klną ją męki...
I którzy widzą, jak cudzy kłos buja,
A swej nie ściągną doń ręki.

Którzy żółć piją, łzy i pohańbienie
Policzkiem krzywdy i wzgardą
Niesprawiedliwą i ślepą, a przecie
Przy sobie dzierżą pięść twardą.

Nad tymi płaczę, których wiedzie życiem
Pokorna, ciernista droga,
Bez chleba ciału i bez światła duszy,
A przecież — idą do Boga.

Co do snu mają garść słomy przegniłej,
Z której ich rankiem głód budzi,
Co na szpitalnym konając barłogu,
Miłują braci swych — ludzi!

PRZEKŁAD
M. Konopnickiej.



Fragment z pamiętników Wincentego Pola.



Nie chcę tem bynajmniej ujmy czynić Stanisławowi Jaszewskiemu, że był prawie przez 10 lat stałym współpracownikiem „Rozmaitości“. Bo wszyscy, cośmy się zajmowali literaturą we Lwowie, byliśmy w pewnych czasach współpracownikami tego pisma, ale nikt z nas nie zdołał ani na kierunek jego, ani na ducha wywrzeć wpływu, choć od Bielowskiego i Przyłęckiego poczynając, a kończąc na Karolu Szajnosze i Zacharjasiewiczu z młodszych pisarzy, byli wszyscy, jak mówię, współpracownikami tego pisma a redaktorami głównymi w pewnym czasie Jan Nepomucen Kamiński i Sartyni. Była tu, jak mówię, urzędowa gazeta, a te Rozmaitości lwowskie były tylko literackim dodatkiem do niej, absolutny kierunek rządowy był z góry dany. Było to jedyne pismo literackie, wychodzące w kraju, w którem było można coś umieszczać, a dodać tu trzeba i to, jeżeli policyjne prześladowanie na którego z nas padło, jeżeli miał być wziętym do więzienia, albo po wyjściu z więzienia chciał się od dalszych prześladowań uchylić, to jedynym środkiem było oddać się przynajmniej na jakiś czas w służbę rządowego dziennika. Każdy z nas był kolejno do tego zmuszony i pod tym tylko warunkiem można się było uchylić znowu od prześladowania, uzyskać paszport do podróży, wolność wyjazdu na wieś, lub swobodniejszy pobyt we Lwowie; z innego tedy zupełnie stanowiska wypada tu się zapatrywać na ten udział, jakiśmy z kolei miewali w urzędowym dzienniku, bo były to czasy twardej cenzury, a policja była wszechmocną. Każdy z młodych literatów stał w czarnej księdze ministra policji Siedlnickiego zapisany „berufs- und beschäftigungsloser Mensch, politisch verdächtig wegen demagogischer Umtriebe“, co znaczy człowiek bez zajęcia i powołania, o demagogiczne wichrzenia podejrzany. Na kim to już raz zaciężyło, ten pewno nie dźwignął się więcej, bo nie zdołał sobie wyrobić ani pozycji, ani utrzymania, ani urzędu; we wszystkie jego prywatne stosunki wchodził rząd i na każdym kroku zapytywał, z czego żyjesz? — chociaż sam właściwie był przeszkodą do wszystkiego i nie dozwolił żadnego zawodu obrać stale. Tak zmarnowała się młodość najzdolniejszych ludzi w tym kraju, oddanych literaturze. Stanisław Jaszewski był wiekiem znacznie starszym od nas, pisał on bardzo wiele i sam jeden prawie zapełnia tę lukę lat 10 od 1820 do 1830 roku, on jeden dawał publiczności rok rocznie kilka książek polskich w rękę, tłumaczył powieści Walter Skota i pisał w tym duchu i podług tego wzoru powiastki i powieści, osnute na dziejach polskich. Książki jego miały wziętość w swoim czasie i w tem głównie zasługa jego, że dawał pełną ręką. Zrobił on dla Lwowa i Galicji to w swoim czasie, co później dla całej Polski zrobił Kraszewski, chociaż nie chcę tu bynajmniej porównywać usiłowań obu tych pisarzy pod względem ich stanowiska i zdolności. Nieszczęśliwy był żywot Jaszewskiego, wartę, która na niego padła, odbył wiernie i z wielką ciężkością, poprawiał on nieraz kajeta pisarzy młodych, bo znał język i miał wprawę w wysłowieniu polskiem, znajomość gramatyki i pisowni, dziejów Polski i bieżącej literatury, ale że musiał żyć z pióra, poniewierano nim, jak zwykle u nas poniewierają ludzi pracy. Jaszewski trzymał się w kółku bardzo niewielkiem. J. N. Kamiński był mu życzliwym, Szczepański był z nim razem współpracownikiem w redakcji „Gazety Lwowskiej“, a powagą dla tego kółka był Michalewicz, profesor języka i literatury polskiej w Uniwersytecie lwowskim. Pozycja tego jednego człowieka we Lwowie i w kraju była szczęśliwym wyjątkiem; on jeden mógł przemawiać do młodzieży z katedry, którą staraniem całego życia swojego dla Uniwersytetu lwowskiego wyrobił Ossoliński.

Michalewicz pracował też przez kilka lat pod bokiem Ossolińskiego, kiedy zbiory narodowego zakładu były jeszcze w Wiedniu, za wpływem Ossolińskiego otrzymał profesor ten katedrę; nie można mu było odmówić ani znajomości języka, ani bibljograficznych wiadomości, ani w końcu nawet znajomości całej literatury polskiej. Był to wszakże człowiek małych zdolności, politycznie tchórz tak wielki, że kiedy wykładem gramatyki młodzież przez całe lata nudził, był przekonania, że się z każdym dniem coraz więcej kompromituje wobec rządu, w końcu pić zaczął także tylko z tchórzowstwa i czepiał się jako serwilista wiecznie rządowych, niemiłych figur. Zrazu tedy po otworzeniu katedry języka i literatury polskiej na Uniwer-

sytecie lwowskim, rzuciła się młodzież bardzo chciwie i profesor miewał po kilkuset uczniów ze wszystkich lat i wydziałów, wszakże gdy to oceniono, że się od niego nic nauczyć nie można, że przysiadł na katedrze tylko skarby języka i literatury polskiej, dlatego, aby nikt do nich przystąpić nie mógł, odwróciła się cała młodzież od niego, a po kilku latach zaledwo wiedziano o tem, że jest na Uniwersytecie katedra języka i literatury, z której ktoś wykłada. Rząd tedy sprowadził tu rzeczy do zera, a katedra miała odtąd zupełnie inne powołanie; był patent, iż każdy urzędnik galicyjski powinien był posiadać choć jeden język słowiański, profesor tedy literatury polskiej patentował bardzo uczynnie urzędników niemieckich i ich synów, by im ułatwić w ten sposób karjerę w służbie publicznej.

Gdy Ossoliński jako koncesją dla Galicji uzyskał u cesarza Franciszka wskutek traktatu wiedeńskiego katedrę języka i literatury polskiej dla Lwowa, przeznaczała opinja publiczna na tę katedrę Jana N. Kamińskiego, dyrektora sceny polskiej. Bo rzeczywiście w całym kraju znano od kilkudziesięciu lat jednego Kamińskiego, jako człowieka trudniącego się językiem i literaturą polską z powołania. W istocie, największa stała się tem krzywda krajowi, że Kamiński nie objął tej katedry, bo posiadał on wszelkie własności potrzebne na profesora: wielkie zamiłowanie przedmiotu, znajomość nie tylko polskiej literatury, ale i innych, wymowę ognistą, nadzwyczajny dar plastycznego wysłowienia się i wzbudzenie zamiłowania w drugich do rzeczy, którą wykładał. Jeżeli mu czego brak było, to on mógł to był nabyć w ciągu wykładów swoich, bo miał wielkie zdolności i wiedział, gdzie czego szukać trzeba; ale cóż? Rząd znał dobrze Kamińskiego i wiedział, że on jeden w tym kraju utrzymał język, literaturę i myśl polską na scenie pomimo trudności, z któremi od początku wieku prawie walczył. Rząd wiedział o tem, że wykład języka i literatury polskiej stanie się prawdą, gdy Kamiński obejmie katedrę i lękał się taką chorągiew zatknąć na Uniwersytecie lwowskim dla kraju. Trudno było wykluczyć Kamińskiego z konkurencji do katedry, to też znalazły się inne trudności, które niepodobieństwem uczyniły nominację jego: normalja służby publicznej, podług których był do wstąpienia w służbę za stary, gdy nadto, stojąc zapisany w rubryce literatów i aktorów, nie kwalifikował się na profesora Uniwersytetu. Krótko mówiąc, nie miał tych stu stempli urzędowych na sobie, które za czasów Meternicha i Siedlnickiego, obnosić trzeba było po urzędowym świecie, aby uzyskać katedrę publiczną w Uniwersytecie. Jeżeli wszyscy o tem wiemy, ile Aleksander Fredro zawdzięczał J. N. Kamińskiemu w zawodzie swoim dramatycznym powodzenia, wolno się domyślać, czemby była się stała katedra języka i literatury polskiej w Uniwersytecie lwowskim, gdyby ją był objął Kamiński. Nie tak się stało i dopiero wielkie wypadki polityczne ocuciły całą młodzież galicyjską z tego letargu duchowego, z tej bezmyślności politycznej i z tej bezowocności narodowej.

Wieść o rewolucji warszawskiej nocy 29. listopada uderzyła piorunem w ten kraj, od rozbioru Polski na krótką chwilę tylko budzący się ze snu, a 18.000 młodzieży znikło w kilku tygodniach ze Lwowa i z Galicji i stanęło w szeregach wojska polskiego. Od tego czasu poczynamy się już nie na drodze gramatyki i słownika, ale na pobojowisku dorabiać myśli polskiej, chociaż w ślad tylko mężów stojących wówczas na czele literatury, t. j. Brodzińskiego, Lelewela, Mickiewicza, Goszczyńskiego i Maurycego Mochnackiego wstąpił cały naród na te drogi polskie, które w końcu wywołały noc 29. listopada i to wszystko co po niej nastąpiło.



OFIARA [4)]

FRAGMENT W 3 AKTACH Z ROKU 46-go

PRZEZ

WŁADYSŁAWA ORKANA.

(Ciąg dalszy.)

AKT II.

(Pokój ciemny we dworze Jana. Drzwi na lewo i na wprost. Okna dwa na prawo, skąd białość śnieżna wpada do pokoju. W lewym rogu kominek, obok parę foteli. Przy ścianie w prawym rogu biurko; obok na ścianie wyżej zegar. Magdusia rozpala ogień na kominku.)

KUBUŚ *(podchyla drzwi boczne i zaziera do pokoju).*

MAGDUSIA *(schylona przy kominku — odwraca głowę.)* Czego chcesz? Czemu nie pukasz?

KUBUŚ. Może do ciebie będę pukał?

MAGDUSIA. Skądżeś wiedział, że ja? Mógł być pan w pokoju...

KUBUŚ. Choćby był — to cóż wielkiego?

MAGDUSIA. Nie mam czasu przegadować się z tobą. Powiadaj, czego chcesz?

KUBUŚ. Czego chcę, to chcę — to co tobie do tego?

MAGDUSIA. Wynoś sie. Zamknij drzwi, bo mi ogień gasi...

KUBUŚ. Ty tu nic nie masz do rozkazowania. Jaka pani!

MAGDUSIA. Powiem panu, jak nie usłuchniesz...

KUBUŚ. To powiedz. Myślisz, że się boję? *(wsuwa się jednak, przymyka drzwi i postępuje parę kroków).*

MAGDUSIA *(wstaje).* Ty... słuchaj... kto cię to tak uczy? Skąd ty takiej śmiałości nabierasz?

KUBUŚ. Skąd? Znikąd.

MAGDUSIA. Po co ty na wieś latasz? Jakie ty tam masz interesa?

KUBUŚ *(nieco stropiony).* Jakie mam, to mam — co ci o to.

MAGDUSIA. Ze złymi ludźmi przestajesz... Powiadam ci, strzeż sie, bo oni cię na złą drogę wciągną... Ty ludzi nie umiesz jeszcze poznawać, toś powinien usłuchnąć, jak cię kto przestrzega. Wiem, iże matki nie masz, coby ci to powiedziała, to ja ci to gadam. Chcesz duszę swoją zatracić?... Widzisz — pan cię sierotą wziął do dwora i zaopiekował sie tobą, jak swoim... A ty teraz, skoroś podrósł...

KUBUŚ *(ode drzwi)* Tyś głupia — wiesz? *(wychodzi i zatrzaskuje drzwi za sobą).*

MAGDUSIA *(westchnąwszy, schyla się nad kominkiem).*

KUBUŚ *(podchyla znowu drzwi)* Dziecko ci krzyczy! *(znika).*

MAGDUSIA *(wstaje — idzie ku bocznym drzwiom — pukanie — we drzwiach staje Józef).* Z kuchni idziecie?

JÓZEF. Cóż?

MAGDUSIA. Nie płacze tam mała?

JÓZEF. Nie — śpi w kołysce...

MAGDUSIA. A wy do pana?

JÓZEF. Juści... Nie wiem, na kiedy te konie napaść.

MAGDUSIA. To ja sie spytam *(wychodzi do drzwi na wprost).*

JÓZEF *(wchodzi do pokoju, podsuwa się do komina, grzeje dłonie).*

MAGDUSIA *(wchodząc)* Pan powiedział, że jeszcze niewiadomo.

JÓZEF. To głupia mowa. Któż ma wiedzieć? Ja przecie nie będę bez całą noc ślęczał... *(urywa).*

JAN *(wchodząc)* Magdusiu! *(spostrzega furmana)* A, jesteście tu, Józefie? Dobrze. To nie czekajcie, połóżcie się spać. Jak trzeba będzie, to was sam zbudzę. Tak około jedenastej... chociaż... nie wiem jeszcze... ma być posłaniec.

JÓZEF. No to ja już nie zaśpię, a któraż teraz?

JAN. Dziesiąta, zdaje mi się...

JÓZEF. Ho! To prędko zleci. Ani spać nie ma co. *(Wychodzi).*

MAGDUSIA *(stoi koło kominka).*

JAN. Rozpaliłaś już? Dobrze. Dziękuję.

MAGDUSIA *(j. w.)*

JAN. Możesz iść spać. Albo, jak chcesz zaczekać... Światła nie gaś. Jakby posłaniec przybył... Ale zresztą... ja będę czuwał... dobranoc! *(zwraca się ku drzwiom na wprost).*

MAGDUSIA *(za nim)* Pa-nie...

JAN *(zatrzymuje się)* Cóż chcesz mi jeszcze powiedzieć?

MAGDUSIA *(milcząc, patrzy w ziemię).*

JAN *(zbliża się)* No — mówże śmiało, może jaką prośbę masz... przecie przedemną winnaś być otwartą. Wiesz, jakom ci życzliwy...

MAGDUSIA. O, wiem! Ani ja nie warta...

JAN. Tak nie myśl. Dobre serce Bóg najdrożej ceni. A ty masz dobre serce. *(po chwili)* I nie powiesz mi? Może chcesz pani powiedzieć... *(ruch ku drzwiom).*

MAGDUSIA *(prędko)* O, nie! nie!

JAN. No więc... *(gdy się Magdusia twarzą zwróciła do okna)* Ale cóżeś ty taka blada, dziecko? Czyś ty nie chora? powiedz... Może się silisz, aby nas nie martwić? Już od jakiegoś czasu widzę, że ci coś dolega — może cię te sny trapią?...

MAGDUSIA *(składając dłonie, zbliża się do Jana)* O, panie! *(chce go pocałować w rękę).*

JAN *(usuwa rękę)* Nie trzeba...

MAGDUSIA. Ja już dawno panu chciałam... ale nie śmiałam przy gościach... Zresztą myślałam se w duchu: może to jeno strach mój... Ale widzę, że nie... Choć sie naprawdę czegoś lękam... sama nie wiem... Czasem siedzę — i nagle dreszcz mnie przeleci całą... O, panie, cosi sie złego gotuje...

JAN. Dziecko, nie trwóż się... To, widzisz, dreszcz idzie po sercach, bo się Polska budzi...

MAGDUSIA. To wojna ma być? *(Jan przytakuje).* Bo słyna idzie, że sie panowie gotują na chłopów. Opowiadała niewiasta Żurkowa, jak powróciła z Zalesia od ojców, że tam mówili, że od Podgórza ćma panów idzie. I chłopi sie też stroją...

JAN. Nie, dziecko. Panowie i chłopi razem, to jest: Polacy, gotują się na Niemców, co nam zabrali kraj... A tamto, to są bajki.

MAGDUSIA. Mnie o inszych nie idzie, ino o pana.

JAN. W Bogu ufność...

MAGDUSIA. Niech pan lepiej na ten czas pojedzie tam, gdzie niema wojny. Bo choć pan taki dobry — i nikt nie powinien mieć do pana złości — ale we wojnie nie patrzą, kto dobry, a kto zły...

JAN. Ty, dziecko, nie znasz tych spraw. Lepiej nie myśl o tem.

MAGDUSIA. Jakże nie myśleć, panie? Kiedy sie samo myśli. Ja może nie wiem wszystkiego, bo ludzie mi nie powiedzą, bo wiedzą, że ja... Ale, co słyszę po stronie, to... Ja wiem jeno, że sie coś złego gotuje... Gwary niedobre chodzą... I dziadki takie dziwne pieśni śpiewają przy drogach... Kiedyś wracałam od pachciarki — i słyszę lirę i dziadka śpiewającego... przystanęłam na chwilkę... Do dziś dnia tę pieśń w uszach i w sercu słyszę — tak mnie mocno przejęła... takie słowa... Panie, kto to te pieśni układa?

JAN. Ludzie od Boga natchnieni.

MAGDUSIA. Ja se też tak dumała... A dawniej, tom myślała, że pieśni z nieba spadają, a dziadkowie je znajdują a ludzie się od dziadków uczą. To pewnie, że od Boga... bo któżby naprzód mógł wiedzieć... Dlatego też — niech pan lepiej wyjedzie zawczasu. Żeby pan słyszał... Żeby ja panu cały ten strach dała... toby pan może... nie umiem powiedzieć... Jeszcze wojny niema, a już natury złe nabierają śmiałości i podnoszą łby, jak gady mściwe... Choć mnie dziesiąte nie doleci... Furman opowiadał, jak Matus kiedyś wygadywał w karczmie na pana...

JAN. Rzeczywiście, ten chłopak ma niedobre serce. W ten sposób mści się widać, żem mu nie ułatwił ożenku podług jego myśli. Bo on tu kiedyś był z ojcem — nakłaniałem go, aby się z tobą ożenił...

MAGDUSIA. O, panie! Wolałabych śmierć...

JAN. Hm!... to ja nie wiedziałem, że ty go tak nie lubisz. No tak — on nie jest dobry, nie jest... Czemuż ty płaczesz? Że ci to może przykre rzeczy przywiodło na pamięć?... No nie płacz — uspokój się — od ludzi się cierpi i dla ludzi... Win swoich jeno się płacze, a ty tu nie masz winy...

MAGDUSIA *(osuwa się Janowi do kolan).* O, panie szlachetny, złoty! Jaby panu stopy temi łzami obmywała... Czy ja to zasługuję... *(płacze).*

JAN. Wstań, dziecko. Przed Bogiem się jeno klęka.

MAGDUSIA. To pan mój Bóg...

JAN. Zastanów się, co mówisz?!

MAGDUSIA. Ludzie mnie wyszydzali... w kościele miejsca nie było... Co ja też łez wypłakała z hańby... A pan mnie przygarnął sercem, jak Pan Jezus grzesznicę... i nigdy słowa przykrego... ale jeszcze łagodnie, że ani w niebie może tak słodko nie mówią... Żeby ja sto serc miała, tobym sie nie odpłaciła...

JAN. Wstańże już, nie klęcz, Magduś...

MAGDUSIA *(podnosi się).* I jak pomyślę, że pana może złego co spotkać od ludzi, to aż mi dusza z trwogi mrze... i chodzę jak ten cień... już tak od tyżnia chodzę... *(wyciera łzy — po chwili)* Niech pan wyjedzie, zanim...

JAN. Idź-że już, dziecko, spać.

MAGDUSIA. Już idę... *(zwraca się posłusznie).*

JAN. Powiedz pani, że ogień na kominku rozniecony. Jeżeli spi, to nie budź. *(po momencie)* A sny trwożące odpędź. Pomódl się — i za nas także...

MAGDUSIA. Ja tylko za pana się modlę. *(Podchodzi do kominka, poprawia ogień).*

JAN. Dziwne serce...

MAGDUSIA *(przy wyjściu)* Dobranoc panu!

JAN. Dobranoc. *(zostaje sam. Stoi chwilę nieruchomo, poczem zbliża się do kominka — patrzy na ogień — wraca — idzie ku prawej stronie — patrzy na zegar — i dalej krąży... Marja wchodzi).*

MARJA *(siada przy kominku — po chwili szeptem d. s.)* Jaki dziwny ten wieczór dziś...

JAN *(staje)* Mówisz?

MARJA *(podnosi głowę)* Nie...

JAN. Zdawało mi się... *(przechodzi dalej, zamyślony).*

MARJA *(opuszcza głowę — opiera ją na dłoni).*

JAN *(Podchodzi do kominka i siada obok Marji. Chwila milczenia. Poczem Jan poczyna mówić, jakby do siebie)* Pamiętasz, Marjo, ten wieczór, kiedym pierwszy raz był w domu ojca twojego?...

MARJA *(cicho — przez zadumę)* Pamiętam...

JAN. Przyjechałem w zapusty... Nikogo nie było... Ty jedna siedziałaś przy kominku... z pochyloną głową, jak dziś...

MARJA *(j. w.)* Pamiętam...

JAN. Przywitaliśmy się w milczeniu — i długo jeszcze w nocy siedzieliśmy... bez słów... To najmilsza była rozmowa... pamiętasz?

MARJA. Bez słów...

JAN. A ogień trzaskał głośno...

MARJA. A wiater wył na polu...

JAN. A od stajen dolatał niewyraźny śpiew...

ŚPIEW *(za sceną, w oddali):*

„Lecą latami, jakby skrzydłami,
Życia mego momenta...“

MARJA *(z lękiem)* Janie!

ŚPIEW *(j. w.):*

„Jak łódź po wodzie, szybka w swym chodzie,
Żaglem będąc podjęta...“

JAN. Tak, to był ten sam cichy, pogrzebowy śpiew...

MARJA. Dziwne w zapusty śpiewają tu pieśni.

JAN *(wstaje zwolna — w zamyśleniu).*

MARJA *(z bojaźnią)* Nie odchodź!

JAN. Zobaczę, która godzina *(podchodzi ku ścianie przeciwległej).*

MARJA. Która?

JAN. Nie widać dobrze. Zdaje się, że jedenasta. Za pół godziny powinien tu być... *(staje przy oknie).* Prześliczna noc! Miljardy gwiazd po ziemi świecą... A jednak dziwny smętek idzie przez te pola... nieukojony idzie jakiś żal... *(wraca)* Marjo! dawno nie grałaś Szopena *(siada przy niej).*

MARJA. Dziś wszystko dookoła na tej ziemi gra...

JAN. Oj, prawda, że tu wszystko dziwne pieśni gra... *(Milczenie)* Kto się urodził na tej smutnej ziemi, wieczną tęsknotę będzie z sobą niósł... Po obcych stronach, po dolinach słońca, zawsze i wszędzie będzie za nim szła... a za nią — jak cień od krzyża padający — smutek i nienazwany ból... Golgota wieczna i konanie...

(pauza)

MARJA. Ogień gaśnie... *(Jan wstaje)* Nie odchodź jeszcze... Taki dziwny przechodzi mię lęk...

JAN *(siadając napowrót)* Przed czem? *(kładzie dłoń na jej włosach).*

MARJA *(drżąco)* Nie wiem...

JAN. Może ty jesteś słaba?

MARJA. Nie... *(przytula się do niego)* Mów, Janie, mów... Twój głos mnie uspokaja... twój dziwnie miły, słodki głos...

JAN. Dziecina moja!... *(gładzi jej lniano-złote włosy).* Pamiętasz chwile te, gdym cię usypiał słowami? *(z lekkim uśmiechem)* Nie pochlebne to dla mnie, lecz...

MARJA. Mój ukochany!

JAN. Spałaś już, a ja mówiłem jeszcze długo, bojąc się, że jak przestanę mówić, to się zbudzisz...

GŁOS *(daleko za sceną)* Lu-lu!

MARJA. Co to?

JAN. Magdusia kołysze dziecko.

MARJA *(d. s.)* Magdusia kołysze... dziecko... swoje... *(szeptem, w którym jest tęskne zamyślenie)* Lu-lu!...

(pauza)

JAN. Tak — to był jej ten cichy, pogrzebowy śpiew. *(Milczenie).*

MARJA Ogień dogasa... *(Chyli głowę).*

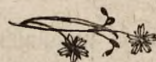
JAN *(wstaje).* Północ blisko, a jego nie widać... *(podchodzi zwolna do okna)* Legenda przed oczyma... Tysiące roziskrzonych skier... *(patrzy w niebo)* Królowa świtu... Gwiazdo złota! Świeć nam, idącym na ostatni bój... *(pochyla głowę)* ...i grobom naszym na ugorach świeć...

MARJA *(patrzy w ogień — szept)* Ostatnie błyski...

JAN *(stojąc w oknie)* Jaka dziwna w tym świecie harmonja tonów! Jak się to wszystko zlewa w jeden boży ład! Chryste... na ziemi przyjdź Królestwo Twoje — jedyna boża harmonjo serc!...

MARJA *(j. w.)* W popiele iskry gasną — i już mrok... dziwne, że tak wszystko mija...

(C. d. n.)



DZIEJE KOMUNY.

(Mendelson Stanisław: Historja ruchu komunalistycznego we Francji w 1871 roku).



Dzieje komuny paryskiej są niezmiernie ważne dla zrozumienia historji Francji w końcu XIX. wieku, jak również dla głębszego wniknięcia w poszczególne punkty doktryny socjalistycznej i anarchistycznej.

Wypadki, które rozegrały się w Paryżu po 18. marca 1871 r. są jednak bardzo skomplikowane; dokładne ich zrozumienie wymaga dość rozległych wiadomości z dziedziny historji, oraz teorji doktryn polityczno-społecznych. Pan Mendelson poprzedził dzieje komuny świetną charakterystyką stanu Francji za czasów cesarstwa. Autor, wyborny znawca historji

ruchów politycznych w wieku XIX. w ogóle, z dziejów tej ostatniej w szczególności zrobił w swej pracy mnóstwo ciekawych spostrzeżeń, dotyczących wzajemnego do siebie stosunku różnych kierunków radykalno-socjalnych: tradycje jakobińskie, blankizm, proudhonizm, ruch robotniczy odbywający się pod sztandarem Międzynarodowego Stowarzyszenia robotników — wszystkie te prądy zostały uwzględnione.

Bardzo ciekawymi i doniosłymi są te ustępy, w których autor mówi o centralizmie i decentralizmie we Francji. Już w 1865 r. widzimy we Francji, zupełnie wyraźnie, tendencję do zdobycia szerokiego samorządu. Nie były one jednak zbyt silne, a większość republikanów nie zrozumiała ich nawet, co, jak zobaczymy później, było jedną z przyczyn krwawego dramatu w 1871 r.

Autor przypuszcza, że sympatje Marxa do żywiołów blankistowskich we Francji, dążących do wywołania rewolucji we Francji, celem obalenia cesarstwa, wynikały głównie z jego patrjotycznych aspiracji ku zjednoczeniu Niemiec. Co do nas, to przypuszczamy, że sympatje te miały swe źródło przedewszystkiem w temperamencie rewolucyjnym autora „Kapitału“, oraz w całej jego koncepcji ruchu społeczno-politycznego. Cesarstwo było tak wielką przeszkodą dla tego ostatniego, że każdy rewolucjonista mający odległe ideały do urzeczywistnienia, musiał z konieczności pragnąć jak najszybszego jego upadku.

Bardzo ciekawym jest ustęp, w którym autor wykazuje jak blankizm, który w 1870 roku nie posiadał licznych zwolenników we Francji — pod wpływem wypadków staje się bardzo szybko kierunkiem, któremu sprzyjać zaczynają liczne sfery społeczne. Nieudolność rządu republikańskiego po upadku cesarstwa występuje w całej pełni. Opozycja przeciwko niemu jest silną, ale brak w niej jednolitości i zupełnie jasno sformułowanych postulatów społecznych i prawno-państwowych.

Szlachetni mieszkańcy Paryża, którzy wykazali tyle poświęcenia podczas oblężenia, po zawarciu pokoju zobaczyli, że Republika jest zagrożoną przez monarchistów i wątpliwych swoich przyjaciół w rodzaju Thiers'a. Skutkiem tego, jak również z powodu niedołężnego zachowania się tego ostatniego wobec wojny — wytwarza się ciężka atmosfera obawy, niezadowolenia.

Konflikt staje się nieuniknionym: młoda, postępowa Francja występuje przeciwko tendencjom reakcyjnym rządu. Nietakt tego ostatniego dolewa oliwy do ognia.

Rząd podstępnie, w czasie prowadzenia układów z Paryżem, chce zabrać mu armaty. Okoliczność ta jest bezpośrednim powodem rewolucji.

Paryż odpiera zamach, a uczuwszy swą siłę, chce dyktować prawa Wersalowi; chce być niezależnym, chce ocalić Republikę demokratyczną, chce przeobrazić Francję, stwarzając nowy ustrój polityczny.

Jakim miał być ten ostatni?

Na pytanie to nie łatwo odpowiedzieć. Paryż chciał większego samorządu. Najskrajniejsze jednak żywioły w stolicy szły dalej jeszcze, dążąc do przeobrażenia tej ostatniej w niezależne zupełnie terytorjum, posiadające wszystkie atrybucje samodzielnego państwa.

Jeżeli opozycja stolicy ograniczyłaby się do tego, aby dążyć do stworzenia we Francji rozległego samorządu prowincjonalnego i wiejskiego, wówczas znalazłaby ona silne poparcie na prowincji; ale wtedy należało sformułować ściśle program autonomiczny dla całego kraju. Tego jednak nie zrobiono.

Paryż chciał się niejako wyodrębnić od reszty Francji, aby stworzyć u siebie wyższe formy społecznego życia. Dążenie to jednak nie mogło się urzeczywistnić.

Tendencje stolicy znalazły pewien oddźwięk w wielkich miastach Francji, w których chwilowo powstał analogiczny ruch komunalistyczny, wkrótce jednak został on zgnieciony.

Czy nie można było zdobyć się na kompromis, polegający na tem, aby nadać całej Francji ustrój polityczny decentralistyczny, a Paryżowi zapewnić najszerszą autonomję?

Usiłowania w tym kierunku podjęte były przez postępowe mieszczaństwo paryskie, przez syndykaty przemysłowców i kupców stolicy, przez różne stowarzyszenia. Rozbiły się one jednak, zdaniem autora, z powodu oporu Thiers'a, który chciał doprowadzić do przelewu krwi, do zgniecenia rewolucji; o doktrynerstwo republikanów i radykalistów na Zgromadzeniu narodowem oraz przez brak zmysłu orjentacyjnego przewódców komuny, przeceniających swoje siły i lekceważących ruch ugodowy.

Mendelson podkreślił silnie w swej pracy tendencje ugodowe postępowego mieszczaństwa Paryża. Zatrzymał się też dłużej nad poglądami republikanów ze Zgromadzenia narodowego w kwestji samorządu.

Ludzie ci, przejęci starą doktryną centralizmu francuskiego, obawiali się autonomji, widząc w niej

krok pierwszy ku „podziałowi" „niepodzielnej" Republiki. Rutyna zabiła u nich poczucie rzeczywistości. Ludzie ci radykalnych przekonań, jak naprzykład Ludwik Blanc, woleli raczej popierać takiego Thiers'a, który był w głębi duszy orleanistą — niż dążności Paryża do samorządu.

Usiłowania więc postępowego mieszczaństwa Paryża nie doprowadziły do kompromisu.

Autor jak zaznaczyliśmy, część winy zwala na samą komunę; niezawodnie przeceniała ona swoje siły, ale prawdopodobnie kompromis nie przyszedł, by do skutku i wtedy nawet, gdyby najskrajniejsze żywioły Paryża poparły go czynnie, a to dla tego, że Thiers wraz z całym rządem i republikanami ze Zgrom. narod. nie chcieli samorządu. Wprawdzie Thiers prowadził pertraktacje, nie były one jednak szczere.

Autor obszernie omawia działalność komuny, zarzucając jej brak energji w zarządzie wojskowym i w ogóle małe rezultaty pracy ustawodawczej.

Pierwszy z tych zarzutów jest o tyle racjonalny, że istotnie komuna straciła masę czasu i pozwoliła Thiersowi wzmocnić swe siły. Błędem też było nie opanowanie banku francuskiego.

Co zaś do pracy ustawodawczej, to względną jej jałowość tłómaczy zupełnie krótki czas trwania komuny. Autor podkreśla uczciwość administracji tej ostatniej i żywotność klasy robotniczej.

Praca Mendelsona daje obfity materjał do rozmyślań, jest też cennym nabytkiem dla naszej literatury historyczno-politycznej. Brak miejsca nie pozwala nam poruszyć wielu kwestji, związanych z wypadkami 18. marca 1871 r. *L. K.*

Z PIŚMIENNICTWA I SZTUKI

KSIĄŻKI. *Z zakresu hygieny.* Nakładem wydawnictwa „Przewodnika zdrowia" (Czarnowski. Berlin Karlstrasse 32) wyszły dwie broszurki, zasługujące na to, ażeby je gorąco polecić czytającej publiczności:

1) Jedna z broszurek o 48 str. nosi tytuł „Czem zastąpić napoje alkoholiczne", opatrzona jest rysunkami. Autor podaje wskazówki praktyczne dla każdego, coby chciał się zająć sporządzaniem: soków, limoniad, octów, win owocowych nie fermentowanych etc. Obok tego znajdujemy bardzo ważne i wielce pouczające rozważania na temat alkoholizmu powszechnego. Szczególniej zastanowienia godne są: wstęp i ogólne uwagi, podane na końcu broszurki. Przyznać musimy, że najzupełniej słuszną, jakkolwiek nad wyraz dla nas smutną jest charakterystyka Polaków, jaką przysłowiowo nadano nam za granicą naszego kraju „Jvre comme un polonais", „Besoffen wie ein Pole" brzmi w ustach każdego. A my! po większej części dumni z tej nazwy „pijaków zawodowych" jesteśmy i kpimy z „fanatyków wody".

2) Druga broszurka o 52 str. jest odbitką z dzieła „Życie płciowe i jego znaczenie", ukazała się ona pod tytułem „Z kim się łączyć w małżeństwo?" „Wybór małżonków ze stanowiska zdrowotnego". W tej broszurce podane są bardzo ważne rady i wskazówki, które powinne być znane powszechnie. Ja z mojej strony zwrócę głównie uwagę tylko na rady, dane naszym dziewicom, mianowicie „Trzeźwość powinna być warunkiem koniecznym i niezłomnym do zawarcia ślubu małżeńskiego. Na pijącego młodzieńca lub mężczyznę niechaj żadna z dziewic naszych nie patrzy". Radę tę uznaję za najlepszą i najskuteczniejszą dla ważmości wytrzeźwienia społeczeństwa. „Gdyby pijących przez wiek cały, Polki nie kochały", ręczę za to, że szynki, gawędkowe świątynie i t. p. obfite u nas zakłady wesołości towarzyskiej, stałyby pustkami. Nie wchodząc w dalsze szczegóły, jeszcze raz i to najgoręcej polecam obie broszurki wszystkim; zaś szczególniej naszym paniom, matkom, gospodyniom, dodając na zakończenie, wykrzyknik jednego z naszych patrjotów: „Boże mój! coby to niewiasty nasze zrobić mogły, gdyby były uświadomione o swej mocy i sile i gdyby chciały się podjąć szlachetnego zadania, wielce patrjotycznego, wytrzeźwienia i umoralnienia społeczeństwa".

Dr. B. Dybowski.

Jezuici w Galicji. Pod tytułem „Powrót i powtórne zniesienie Jezuitów w Galicji 1820—1848" wydał ks. Władysław Chotkowski w Krakowie obszerniejszą pracę, która zasługuje na uwagę o tyle, że wyzyskuje nieznany dotychczas materjał historyczny, a mianowicie akta ministerstwa wyznań i oświaty we Wiedniu. Akta klasztorów galicyjskich znajdujące się w tajnem archiwum tegoż ministerstwa noszą ogólny numer 102, a składają się z osobnych fascykułów. Dzieje Jezuitów w Galicji obejmuje osobny fascykuł l. 651, który zawiera 129 konwolutów. Część pierwsza t. j. 25 konwolutów tegoż fascykułu odnosi się do historji zniesienia zakonu w r. 1773; dalszą zaś do historji okresu 1820—1848, który autor opracował drobiazgowo, podając mnóstwo szczegółów z dziejów i finansów jezuityzmu galicyjskiego.

Samo opracowanie jest suche, a autor staje po stronie Jezuitów, zwłaszcza wobec ich wszystkich przejść z biurokracją austrjacką.

Z drukarni W. A. Szyjkowskiego we Lwowie, ul. Kopernika 5.